LOKALNIE · FELIETON

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ – LEKCJE DO PRZEŻYWANIA

Aleksander Nalaskowski · 5 października 2022

Stoję w ukrytej krypcie Kościoła Najświętszej Marii Panny w Toruniu.
W zagłębieniach widzę ludzkie kości, czaszki.
To budowniczowie, którzy zginęli bądź zmarli w trakcie budowy świątyni.
Nie doczekali końca, nie zobaczyli swojego dzieła.
I żaden z nich nie odpowie mi już na pytanie,
co dla niego było ważniejsze – życie czy ta świątynia?

Zaskakująca i niekiedy groteskowa szarża lewoliberalnych ekspertów na podręcznik do Historii i Teraźniejszości autorstwa Wojciecha Roszkowskiego ukazuje nie tylko ideologiczne uwikłanie polskiej oświaty, lecz nade wszystko kompletne niezrozumienie podnoszonego w sporach problemu.

Tekst niniejszy napisałem na długo przed „podręcznikową hucpą" i hejtem skierowanym nie tylko w stronę podręcznika, nie tylko w stronę jego autora, ale nade wszystko przeciwko polskiej tożsamości. Komedia rozgrywana wokół podręcznika w sposób bezlitosny kompromituje znaczącą część polskiej inteligencji.

CZYTAJ TAKŻE: Czy istnieje uniwersalny przepis na sukces systemu edukacji? Cz. 1

Historia – tamten dźwięk, zapach i kolor

Jest taki żart. Babcia wspomina głód i brak wszystkiego w czasie niemieckiej okupacji. Na to zdziwiony wnuczek pyta, dlaczego nie poszli do Biedronki sobie kupić.

Co jest istotą tego, tylko z pozoru zabawnego witza? To próba nałożenia na fakty historyczne współczesnego myślenia. Tutaj kuriozalna i wynikająca z niewiedzy wnuczka, ale generalnie obecna we wszystkich pracach historycznych, w których dokonuje się analizy faktów i procesów, badając wydarzenia z przeszłości. Ale innym myśleniem nikt z nas nie dysponuje! Przeszłość, zarówno ta bardzo odległa, jak i nam bliższa, stając się przeszłością, staje się jednocześnie tajemnicą. Pozostają po niej ślady materialne, pozostają tradycje, obyczaje, dokumenty i źródła. Czyli bardzo niewiele, a prawie nic. Ale to na ich podstawie rekonstruujemy przeszłość i toniemy w domysłach, nie wiedząc, w którym momencie o prawdę się chociażby ocieramy.

Patrząc na Kościół Mariacki w Krakowie, opactwo w Fontevraud czy katedrę w Kolonii, staramy się odczytać przekaz, sygnały, którymi do nas przemawiają, ale i tak rozumiemy je wyłącznie, jakby były wypowiedziane we współczesnym nam języku. Budowle te nie mogą nam zaprzeczyć, potwierdzić, sprostować fałszywych interpretacji i dlatego traktujemy je jak nieme. Ta specyficzna „różnica językowa" powoduje, że o średniowieczu (i wszystkich innych epokach) wiemy żałośnie niewiele, chociaż profesjonalni historycy pewnie temu radykalnie zaprzeczą.

Nie jesteśmy w stanie średniowiecza zrozumieć, bo nie czujemy zapachu tamtejszych ulic, ludzi, posiłków, nie rozumiemy ich religijności, wiary w czary, stosunku do śmierci, wiedzy o otaczającym ich świecie, ówczesnego bogactwa i ówczesnej nędzy, reakcji na publiczne egzekucje, lęku przed Inkwizycją, zabobonów, posłuszeństwa wobec władzy, ciężaru zbroi dźwiganej przez ludzi inaczej odżywionych, inaczej zaprawionych fizycznie, inaczej motywowanych do jej udźwignięcia. Nie umiemy sobie wyobrazić, jak można było wierzyć w osobowego diabła, którego istnieniu dzisiaj chętnie zaprzeczamy. Nie wiemy, co mentalnie znaczyło być włóczęgą wyganianym o zmroku poza mury miasta, nie znamy treści i odbioru pouczeń prawionych przez kaznodziejów, nie znamy widoku, odgłosów, kolorów bitew średniowiecznych, które (biorąc pod uwagę rodzaje broni) przypominały jatkę, rąbaninę, jakąś ludzką ubojnię i były lepkie od krwi. Nie znamy widoku i fetoru pól pobitewnych, sposobu traktowania jeńców. Nie znamy tamtego świata, świata powszechnego analfabetyzmu, książek wartych wielkich sum, pozbawionego mediów, powszechnego szkolnictwa i raczkujących uniwersytetów, świata trądu, morowego powietrza, psujących się zębów, pręgierzy, piętnowania, w którym większość ludzi rodziła się, żyła i umierała w tym samym miejscu. Słabo znamy języki, którymi tysiąc lat temu posługiwali się mieszkańcy Europy. Nie mamy pojęcia o poczuciu tożsamości tamtych ludzi, gdy tak naprawdę wspólnotowość narodowa była w powijakach. Nie znamy tamtego poczucia czasu.

> My, przyzwyczajeni do wnoszenia ogromnych gmachów w kilka, kilkanaście miesięcy, nie pojmujemy świadomości ludzi, którzy rozpoczynając budowę, wiedzieli, że jej ukończenie zobaczą dopiero ich pra-, prawnuki.

Zatem tak naprawdę nie wiemy ogromu istotnych rzeczy o świecie, w którym wspomniane katedry, zamki, pakty, uniwersytety i to wszystko, co nazywamy dzisiaj średniowieczem, wzrastało, stawało się, rodziło. Jesteśmy jak pyszni wróżbici orzekający na podstawie odcisku ludzkiej stopy o życiu, wyglądzie i losach człowieka, który ten ślad zostawił. W materialnych pozostałościach tkwi nade wszystko tajemnica, a dopiero w drugiej kolejności wiedza. Pozostałości materialne są tu zaledwie wierzchołkiem symbolicznej góry lodowej. Bo już sama nazwa epoki sugeruje, że swoją wiedzę o średniowieczu czerpiemy na podstawie własnych, współczesnych nam ustaleń, przy pomocy współczesnego języka i wyrażanego w nim myślenia. Wszak z całą pewnością Kazimierz Wielki czy Savonarola nie nazywali siebie ludźmi średniowiecza.

> Widząc piramidy w Egipcie czy Teotihuacan, Koloseum rzymskie, Stonehenge albo świątynię w Delfach, nie wiemy niemal nic o jądrze epoki, w których powstały, o duchu ich budowniczych. Wiedząc, że dwieście lat temu ludzie żyli bez elektryczności, próbujemy to zrozumieć, gasząc światło w pokoju albo udając się na survival do dżungli. Czym innym jest jednak rezygnacja z czegoś, co mamy, a czymś innym tego obiektywne nieistnienie. Siłą rzeczy więc wyobrażając sobie Wawel Zygmunta Starego, gasimy w nim światło elektryczne, ale to nie znaczy, że wychowaliśmy się w świecie, w którym ogień był jego jedynym źródłem. Nie znaczy również, że jesteśmy w stanie pojąć tamtych mieszkańców królewskiego zamku.

Tajemnica

Nie znamy rzeczywistej wartości życia i śmierci w epokach, w których zakażenie czy gorączka skutecznie zabijały. I nie możemy sobie tego wyobrazić. Ograniczenie to dotyczy nie tylko odległych epok, ale i czasów całkiem bliskich.

W moich zbiorach cyfrowych mam dwie fotografie. Na jednej z nich widać mężczyznę z sumiastym wąsem i w surducie, na krakowskich Plantach. Bez wątpienia to okres, który Artur Górski pod koniec XIX wieku nazwał Młodą Polską. To czas ślubu i wesela Lucjana Rydla, „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego, burzliwych losów krakowskiej bohemy, szalonych miłości, absyntu i powrotu do wartości romantyzmu na przekór filisterskiej modernie. Na drugiej fotografii widać mężczyznę gładko wygolonego. Ma całkiem „dzisiejszy" wygląd. To fotografia zrobiona we Lwowie niemal w przededniu wybuchu II wojny. Na obu tych zdjęciach jest Tadeusz Boy-Żeleński.

Ten pierwszy jest początkującym lekarzem, a może jeszcze studentem medycyny, włóczy się nocami po Krakowie w towarzystwie diabolicznego Stanisława Przybyszewskiego, podkochuje w jego żonie Dagny, podziwia Wyspiańskiego, z którym się przyjaźni, zapewne kilkanaście lat wcześniej widywał Jana Matejkę, pisał rymowane erotyki i miniatury satyryczne, a jego światopogląd można by nazwać „artystycznym" albo „romantycznym". Minęły trzy dekady i Boy stał się znakomitym tłumaczem literatury francuskiej, należał do elity intelektualnej, nie praktykował w zawodzie lekarza, ale był działaczem na rzecz nieograniczonego prawa kobiet do aborcji, mocno lewicującym libertynem romansującym z licznymi kobietami i z sympatią spoglądającym na nową moralność komunistyczną.

Z dokumentów, źródeł, relacji świadków i badaczy biografii Boya znamy fakty z jego życia. Znamy ich całkiem sporo. Znamy daty, nazwiska, podróże, odezwy, publicystykę. Ale nie znamy, poza naturalnym i oczywistym procesem starzenia się człowieka, jak przebiegał w swej istocie proces prowadzący od punktu A do punktu B. Biografowie Żeleńskiego nie poruszają tego problemu. Zapewne słusznie. Ale kto się nad nim zastanowi i podejmie próbę jego zrozumienia, zachowa się jak każdy historyk i ów znak zapytania zinterpretuje, odnosząc do własnych doświadczeń, spróbuje niejako sam wejść w postać Boya i rozglądnąć się we wnętrzu ciemnej strzałki. Ale czy można człowieka „młodopolskiego" i „przedwojennego" (Boy zginął w pierwszych latach wojny w co dopiero utraconym przez Polskę Lwowie), który zapewne niewiele wiedział o Auschwitz i nie zobaczył kresu wojny, widza z prapremiery „Wesela", przyjaciela największych ówczesnych artystów, czy można go interpretować z perspektywy tego, który żyje w czasach panmedialnego amoku, kto korzysta z telefonów komórkowych, szybkiego i globalnego transportu międzykontynentalnego, wie o podboju kosmosu i zdobyciu Księżyca? Czyż tak naprawdę owa czarna strzałka i wszystkie inne czarne strzałki w życiorysach ważnych czy najzwyklejszych ludzi nie kryją nieodkrywalnej dla nas tajemnicy kokonu naszego życia?

Istniał w polskich domach, jeszcze niekiedy spotykany na Podlasiu, zwyczaj, że dziecko „przynosiło sobie" imię. To znaczy – oseskowi nadawano imię, które w dniu jego urodzin widniało w kalendarzu. Stąd w moim i starszym pokoleniu spotykało się Sławojów, Jacentych, Eustachych czy Donaty. Dziecko rodząc się, wskazywało tym samym swojego patrona. Imieniny to wszak nic innego jak oddawanie czci patronowi rezydującemu w niebie.

Czy nie jest tak, że rodząc się w określonym miejscu i czasie, wskazujemy epokę, w której będziemy żyć, wpisując swe losy w jej kształt i wydarzenia?

> Profesjonalni historycy opisując przeszłość, w miejscu czarnych strzałek piszą swoją wizję następstwa zdarzeń, łącząc je w procesy, których ekologia jest nie do poznania. Bo to, co naprawdę jest historią, jest całością faktów, które mają swój dźwięk, zapach, smak i fakturę. Można na podstawie źdźbła trawy opisać łąkę, ale czy to w istocie będzie łąka? Nie, bo między źdźbłem a łąką roztacza się tajemnica, której słowami opisać się nie da.

Jeśli wstrząsa nami widok zwłok ofiary wypadku drogowego i jeszcze długo potem przejeżdżając koło miejsca tego zdarzenia, mamy ów widok przed oczami, odruchowo zdejmując nogę z gazu i szczególnie uważając na drodze, to jak wielki wpływ na psychikę człowieka i jego dalsze życie musiało wywrzeć uwięzienie w obozie koncentracyjnym. Jak bardzo testował swoją wiarę, widząc upokarzanych i katowanych księży. Czy można to „zobaczyć", zwiedzając obóz zamieniony w muzeum? Czyż ci, którzy przeżyli piekło obozu, nie mówią: „tego nie da się opisać słowami"?

CZYTAJ TAKŻE: Uniwersytet pod ostrzałem. Czy postępowe szaleństwo zabije wolność akademicką?

Łańcuch faktów i interpretacji

Historycy łącząc fakty w łańcuch relacji i zależności spowitych upływem czasu, wypełniają brakujące ogniwa intuicją, domysłami, interpretacjami. I jednakowo ważne, aby dowiedzieć się, z czego brakujące ogniwo ukuli, a jakiego materiału nie użyli. Czy więc można oczekiwać, że historia Polski pisana przez warszawskiego prof. Henryka Samsonowicza będzie taka sama jak historia krakowskiego prof. Andrzeja Nowaka? Dzieli ich nie tylko różnica pokoleniowa, ale także dziedzictwo dwóch różnych zaborów, poglądy polityczne, ścieżki kariery czy nauczyciele. Między znane ze źródeł fakty każdy z nich wsączył swoją opowieść, swoją wizję tajemnicy, własną opowieść. Ale czy którakolwiek z tych dwóch historii Polski jest „obiektywnie prawdziwa"? Czy ma zapach, dźwięk, kolory i wszystko to, co wymyka się słowom, o czym informują zmysły, co z kolei przy pomocy umysłu zamieniamy w doświadczenia? Zastanawiać się chyba trzeba, czy w ogóle jakaś „obiektywna historia" jest możliwa. Czy katyńskie ludobójstwo można rozważać jakoś „obiektywnie", biorąc pod uwagę „wszystkie *za* i *przeciw*"? Przecież fakt bestialskiego zamordowania przez sowietów tysięcy polskich oficerów jest bezsporny, policzalny i udokumentowany. Co tu jeszcze rozważać? A jednak, z perspektywy Rosjan wygląda to „inaczej" i ma swoje „uwarunkowania". Nie zaprzeczają faktom, ale ich otulinę opisują po swojemu. Tak jak niemieccy historycy wolą pisać, że najokrutniejszą z wojen wywołali Niemcy, bo zrobili to jacyś nieokreśleni, bezpaństwowi naziści.

To nie Niemcy wybrali w demokratycznych wyborach Hitlera i jego partię, nie Niemcy uczestniczyli w masowych manifestacjach i wiecach, parteitagach i marszach, nie Niemcy dokonali Holocaustu. To zrobili jacyś naziści, urodzeni i wychowani w niewiadomym miejscu, mówiący nieznanym językiem intruzi na terenie III Rzeszy. Fakt jest oczywisty. Wszyscy niemieccy zbrodniarze wojenni byli członkami NSDAP, a to wystarczy, aby po przegranej wojnie zapomnieć o ich niemieckości i jako narodowość przypisać nazizm. To może się zdarzyć tylko w historii pozbawionej dźwięku (krzyków ofiar), koloru (brunatnego) i zapachu (dymu z kominów w Treblince). Bo jest przeszłość i jest historia. Przeszłość istnieje naprawdę, a historię wymyślają historycy.

Teraźniejszość i historia – podróż do źródeł

Pomysł wprowadzenia przedmiotu *historia i teraźniejszość* oceniam jako strzał w mocną dziewiątkę. Już dawno nie było tak dobrej inicjatywy ze strony MEN. Być może jesteśmy świadkami narodzin antidotum na neobarbarzyństwo i intelektualny wandalizm. Dlaczego więc tylko dziewiątka?

Po pierwsze. Przede wszystkim zmieniłbym kolejność i nazwał go „*teraźniejszość i historia*". Kolejność bowiem wydaje się być tu istotna. Nazwa pierwotna pokazuje, że idzie o dwa odrębne czasy, o kiedyś i dzisiaj, wskazuje na różnice między nimi, na ich odmienność. I gdyby tak się zastanowić, to nazwa ta jest nieco kłopotliwa, bo mętna. Czy swoim brzmieniem uzasadnia, że taki porządek jest właściwszy niż *teraźniejszość i przyszłość* albo *historia i przyszłość*? Nazwa przedmiotu *teraźniejszość i historia* odwołuje się do poszukiwania korzeni, do cofania się w czasie. Jest zaproszeniem do podróży w świat rodziców, dziadków, pradziadków, ale już z perspektywy obecnej wiedzy i doświadczeń. To zupełnie inna dynamika i inny kierunek myślenia niż w pierwotnym brzmieniu. Brzmi jak imperatyw „idź do źródeł, a zrozumiesz rzekę", „schodź do korzeni, a docenisz smak owocu".

Po drugie. Nie wiadomo, kto miałby ten przedmiot prowadzić. Ale to, że nie wiadomo, oznacza tylko tyle, że kadry trzeba poszukiwać i taką kadrę kształcić, a nie znaczy bynajmniej, że przedmiotu *teraźniejszość i historia* nie należy wprowadzać. W tym punkcie jest też osadzona przestroga, aby nie robić niczego na chybcika, na kolanie. Jest przecież jasne, że wprowadzenie do programów nauczania takiego przedmiotu nie oznacza automatycznie skuteczności przekazu treści. Przedmiot w programie nie równa się wiedza.

Po trzecie. Zagrożeniem jest ideologizacja zajęć. Czyli zapraszanie uczniów nie do fascynującej podróży w czasie, ale na ordynarne manowce. Przedmiot *teraźniejszość i historia* może stać się polem oszustw i fałszowania prawdy. Będę protestował, jeśli przyzna się go historykom. Wśród historyków spotykamy nie tylko Cenckiewicza, Polaka czy Nowaka, ale też Tuska, Komorowskiego, Nałęcza czy Borusewicza.

Po czwarte. Przedmiot trzeba uzbroić w filmy i inne materiały dydaktyczne. Przecieranie ścieżek wymaga bowiem odpowiedniego ekwipunku. Dobrą pomocą byłoby sporządzanie przez uczniów własnego drzewa genealogicznego i historii rodziny. Chociażby w wersji komputerowej.

Po piąte. Koniecznie trzeba się wystrzegać nachalnego, a niekiedy trywialnego, dydaktyzmu, natrętnej perswazji i przekonania o przekazywaniu prawd objawionych. Propagandowa i namolna beatyfikacja Ojców Niepodległości jest przeciwskuteczna!

CZYTAJ TAKŻE: Czy istnieje uniwersalny przepis na sukces systemu edukacji? Cz. 2

Patriotyzm od początków

> Przedmiot *teraźniejszość i historia* może być znakomitą przestrzenią budowania rozumnego patriotyzmu. Pod warunkiem, że zacznie się nie od góry i brzmiących tromtadracko haseł, ale „od spodu", od historii własnej rodziny, własnej miejscowości, parafii, docierając stopniowo na szczebel narodowy. Ilu uczniów zna nazwisko panieńskie swoich babek, prababek, przybliżone daty ich narodzin, śmierci, wykonywane zawody przodków, miejscowości, z których się wywodzili, ciekawe wydarzenia z ich życia? Ilu uczniów zna dzieje swojej szkoły, a w przypadku szkół z dłuższą tradycją – wojenne losy nauczycieli, uczniów?

Sposobów dobrej i służącej realizacji przedmiotu sprawie można by tu wskazać jeszcze sporo, ale nie chodzi tu o porady metodyczne dla nauczycieli, ale o istotę problemu. Dodam tylko, że metodę **pedagogii źródeł** stworzyłem w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i przez dwie dekady realizowałem ją w praktyce w swojej Szkole Laboratorium.[1] Zatem zachęcam do lektury.

Kochać od przeszłości

Skupmy się teraz na tym, co najważniejsze, a więc na przekazie, który mógłby, a według mnie powinien, wypełniać zajęcia z przedmiotu *teraźniejszość i historia.* Przy czym trzeba zwrócić uwagę, że stosujemy tu dwa sposoby rozumienia historii.

> Pierwszy z nich to historia jako nauka akademicka i przedmiot nauczania w szkołach. Drugi zaś to historia jako przeszłość w ogóle, jako czas miniony. Zatem przedmiot *teraźniejszość i historia* mógłby mieć równie dobrze nazwę teraźniejszość i przeszłość, co mogłoby rozwiązać spory o jego wyłącznie historyczny (w rozumieniu akademickim) charakter.

Amerykański badacz kultur Clifford Geertz zaproponował zastosowanie w procesach badawczych nad kulturami metodę tzw. opisu gęstego.[2] Wydaje się, że byłaby ona bardzo dobrą podstawą teoretyczną, punktem wyjścia do zajęć z przedmiotu *teraźniejszość i historia.* To właśnie na tej drodze można by uczniom uświadomić to, co nazwałem wcześniej tajemnicą, ekologią faktów historycznych. Tak aby to, co w nauczaniu historii stanowi marszrutę od punktu A do B, od B do C, C do D itd., tutaj nabrało specyfiki, zapachu, koloru, dźwięku, smaku, temperatury, wilgotności, emocji i personalizacji. Tylko w ten sposób można słuchaczom uświadomić nie tylko to, co wiemy, ale także bezmiar tego, czego nie wiemy. Jeśli prawdą jest, że widzimy tylko to, co potrafimy nazwać, to lekcje w ramach przedmiotu *teraźniejszość i historia* mogłyby być właśnie nazywaniem przestrzeni wokół faktów, nadawaniem im kontekstu.

W latach 1979-1997 BBC wyprodukowała serial dokumentalny „Powiązania", w którym historyk nauki James Burke pokazywał w bardzo atrakcyjnej formie, przemieszczając się filmowo w czasie i przestrzeni, jak poszczególne segmenty dzisiejszej nauki, życia społecznego czy kultury są powiązane z przeszłością, stanowiąc kumulację odkryć, wynalazków, skutków wydarzeń społecznych. Na przykład w jednym z odcinków pokazał związek pomiędzy wynalezieniem (zastosowaniem) strzemienia w bitwie pod Hastings a skonstruowaniem niemal 900 lat później silnika odrzutowego. Pomijając nieścisłości i pewne uproszczenia w tym serialu, trzeba podkreślić znakomitą metodę dydaktyczną, właśnie taką, do której odwołuje się duch przedmiotu *teraźniejszość i historia.* Nie wyjaśnimy tego, co nazwałem wcześniej tajemnicą przeszłości, ale możemy wskazać jej istnienie, zarysować jej kształt, podejmować próby zrekonstruowania „tamtej rzeczywistości". Ilu z nas wie, że przez lata w zaborze rosyjskim i częściowo w Galicji zaprzestano podawania w wigilię barszczu? I ma to ścisły związek z naszą tożsamością narodową. W wielu domach jest tak wszak do dzisiaj. Nie ujawnię tu rozwiązania tej zagadki. Niechaj Czytelnicy spróbują zrobić to sami. A jak wyjaśnić uczniom z Podlasia, dlaczego pokolenie ich rodziców od lat głosuje na prawicę? Albo w jaki sposób dotrzeć do źródeł obecnej prawicowości ogromnej części polskich obywateli, z których większość przez całe lata była poddawana bezlitosnej indoktrynacji komunistycznej, obowiązkowej, mającej znamiona opresji, nauce języka rosyjskiego i natarczywej laicyzacji? Jak oceniać i rozumieć tysiące konfidentów komunistycznej Służby Bezpieczeństwa działających we wszystkich gru-

pach i warstwach społecznych? Jakie skutki tego możemy odczuwać do dzisiaj?

Moim, całkowicie nieoryginalnym marzeniem jest, aby następne pokolenia stając przed katedrą w Walencji, Wawelem, Pomnikiem Grudnia 1970, czytając Dantego czy Wańkowicza, zwiedzając muzeum Jana Pawła II w Wadowicach i starą synagogę w Tykocinie, oglądając „Dziady" Mickiewicza czy „Brzdąca" Chaplina, umiało usłyszeć głos, którym do nich tamte rzeczywistości i istniejący w nich ludzie przemawiają. Aby wiedzieli, że to niebrzmiące dźwiękiem słowa skierowane do nich osobiście, aby zobaczyli w całej okazałości swoje korzenie zapuszczone w głębokiej historii. Chciałbym by zrozumieli, że Alek, Zośka i Rudy dokonali wyboru dla nich i w ich imieniu. By wiedzieli, że nie wzięli się znikąd, że ich życie nie jest przypadkowe i bezimienne.

Niewielka część tego tekstu ukazała się w miesięczniku Wpis 5/2022

---

[1] Zob. A. Nalaskowski, *Szkoła Laboratorium. Od rozwiązań autorskich do pedagogii źródeł*, Warszawa-Kraków 2017

[2] Zob. C. Geertz., *Interpretacja kultur. Wybrane eseje*, UJ, Kraków 2005

fot: olx

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/historia-i-terazniejszosc-lekcje-do-przezywania/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć